

Smak zemsty

Tej nocy, nawet niebo zdawało się być pogrążone w żałobie. Zasnute ciemnymi chmurami obserwowało sceny rozgrywające się pośród szumiących traw, rozciągających się w nieskończoność stepów Ardu. Kraina ta była jedną z ostatnich ostoj sprawiedliwości na ziemiach Północnego Królestwa. Nie dotarły tam jeszcze rządy Rady i nawet wzrok samego Tyrana tam nie sięgał. Jednak tej nocy wszystko miało się zmienić, a tak przynajmniej opowiadano mi po latach. Nigdy nie przypuszczałbym, że znajdę się w centrum tych wydarzeń, a później sam będę przyczyną równie tragicznych. Jednak to było nieuniknione. W zamku na wzgórzu zapadał zmrok. Hrabina siedziała obok kołyski swojego najmłodszego syna – Kserksesa. Chłopiec uśmiechał się do niej przez sen. Pogłaskała go po głowie i ucałowała w czoło.

- Dobranoc. – szepnęła czule.

Spojrzała na drugiego syna, Aleksandra. To byłem ja. Podobno od zawsze miałem dziwne oczy. Jasno niebieskie, prawie białe. Lekarze przewidywali nawet, że w przyszłości będę ślepy. Tak się jednak nie stało. Widziałem doskonale, może nawet lepiej niż niejeden z nich, mimo tych dziwnych oczu. Bano się mnie, nawet gdy jeszcze nie umiałem mówić. Jedyne moja matka mimo wszystko mnie kochała. Patrzyła na mnie tak samo czule, jak na mojego normalnego brata Kserksesa. Tak mi mówiono. Moja matka wróciła do swojej sypialni. Nikt nie spodziewał się ataku i każdy wierzył, że może spać spokojnie. Okrutna pomyłka. Nagle zapadła złowroga cisza. Bicia serc i tykanie zegarów, ciemność. Mój ojciec zerwał się z łoża w chwili, gdy strzała przeszła mu serce, matka krzykiem obudziła Jannet – moją starszą siostrę. Nikt o nic nie pytał, niczego nie chciał w zamian. Po prostu padł rozkaz: „Zabić wszystkich”, a za nim odpowiedź: „Ku chwale Rady!”. Tak ojciec, matka i Jannet zostali zamordowani. Gdyby nie Kserkses, my dwaj mogliśmy również tam umrzeć w płomieniach, w naszej dotychczasowej najbezpieczniejszej kryjówce. Mój brat obudził się i zaczął płakać. Rozpaczliwie. Nieznośnie. Jakby wiedział co się działo. Po chwili kilku żołnierzy wbiegło do naszej komnaty. Zobaczyli nas. Dwójka małych, bezbronnych dzieci śpiących w swoich łóżeczkach. Jakże groteskowe zestawienie. Ostre miecze i napięte łuki wobec dziecięcych kołyszek i zabawek. A pośrodku paraliżujący płacz mego brata. Nic nie mówili. Opuścili broń. Wszedł wysoki mężczyzna i zmierzył nas wzrokiem.

- Oni pojedą z nami, niczego nie będą pamiętać.

- Panie, czy nie kazałeś ich zabić?

- To będą, to są teraz moi synowie. – warknął – Okryć ich kocami i zabrać do zamku.

Przez małe okienko powozu widziałem czerwoną poświatę ognia trawiącego mój dom.

Tańczył na nim jak najdoskonalszy tancerz na deskach sceny. Wszystko płonęło i czułem, że mogę dotknąć czerwieni, mimo, że nie zdawałem sobie sprawy czym jest. W gardło wdzierał się duszący zapach dymu. Zacząłem płakać, nie mając pojęcia czemu. Jedyne, czego byłem pewny to głęboka pustka w sercu. Towarzyszyła mi już zawsze, tak jak słowa mojego nowego ojca: „Niczego nie będą pamiętać”. Nie mógł się wtedy bardziej pomylić.

Obudziło mnie światło sączące się zza szyby dworskiego okna. Skrzywiłem się i odwróciłem głowę. Nie chciałem wstawać. Ilekroć śnił mi się ten sen nie chciałem się budzić. Wielka rozpacz pozwalała zapomnieć o rzeczywistości, a ból po stracie kogoś, kto nawet nie istniał, zagłuszał ten zadawany co dzień przez ojca. W jego słowach, pogardzie dla wszystkiego co robiłem. Miałem wrażenie, że żałował. Żałował tego, że istniałem. Próbowałem spełniać jego polecenia, ale nigdy nie było dość dobrze, nigdy mnie nie pochwalił. Leżałem w puchowej

pościeli, rozmyślając nad tym wszystkim jeszcze jakiś czas. Ogrom wspomnień i emocji wirował w mojej głowie niczym trąba powietrzna, powoli przekształcając się w rozmytą breję obrazów i dźwięków. Usłyszałem kroki na korytarzu i otaczający mnie natłok myśli opadł, znów zajmując zbyt wiele miejsca w mojej głowie. Chciałem go z niej wyrzucić, ale nie potrafiłem. Tymczasem odgłos kroków coraz bardziej się zbliżał. Chwyciłem porcelanowy wazon stojący na mojej szafce nocnej i w napięciu czekałem na pokojówkę. Nareszcie jakaś rozrywka. Zgodnie z moimi oczekiwaniami drzwi otworzyły się i po chwili pojawiła się smukła postać Diany. Kobieta o smutnych oczach i kasztanowych włosach przychodziła co rano.

- Paniczu, czas wstać... - nie dokończyła, bo w jej stronę poszybował porcelanowy wazon. Uchyliła się w ostatniej chwili, gdy milimetr od jej głowy przeleciało napełnione jeszcze wodą naczynie. Porcelana z głośnym brzękiem roztrzaskała się o ścianę, pozostawiając na nieskazitelnej bieli mokra plamę.

- Wybacz paniczu, czy zrobiłam coś nie tak? – kobieta była przerażona, ale spokojnie stała w tym samym miejscu ze wzrokiem wbitym w posadzkę.

- Znudzil mi się ten wazon – odparłem wściekły, że znów nie trafiłem. W gruncie rzeczy sam nie wiedziałem, czemu uwielbiałem rzucać różnymi przedmiotami w służbę. Być może uważałem to za wyśmienitą zabawę – Ubierz mnie.

Kobieta posłusznie podeszła do mojej ogromnej szafy. Uchyliła drewniane drzwi i spojrzała na ozdobione kokardami i wstążkami ubrania. Wszystkie były po oczach przepychem niepotrzebnych dodatków i ozdobników. Tyle osób mi ich zazdrościło, a ja ich nienawidziłem. Kolejna martwa rzecz, próbująca zapełnić pustkę. Żalonna próba wychowywania dzieci. Skrzywiłem się, gdy Diana wyciągnęła szmaragdowy kostium.

- Będzie pasował. – oznajmiła.

- Nie chcę go.

- Paniczu...

- Nie chcę go. Muszę powtarzać?

Znów spuściła wzrok i tym razem się zdenerwowała. Energiczniej podeszła do szafy, odwiesiła szmaragdowe ubranie i odwróciła w moją stronę:

- Więc sam wybierz paniczu.

Spojrzałem na nią zaskoczony. Nigdy nie mówiła mi co mam robić, nie miała prawa. Po chwili moje zaskoczenie przeszło w oburzenie i gniew.

- Coś ty powiedziała? – wrzasnąłem – Nie możesz, nie masz prawa!

- Paniczu! – od środka wszedł odziany w czerń lokaj. – Coś się stało?

Wybuchnąłem płaczem. Poranne sceny ze mną w roli głównej były dość normalne. Zresztą i tak nikt się tym nie przejmował. Ojciec raczej mnie unikał, matka traktowała jak powietrze. Chociaż na służbie mogłem się wyżyć. Diana skarcona przez mojego lokaja spuściła wzrok i zaczęła płakać. Jak zwykle był to jeden z przyjemniejszych momentów dnia. Podobna zabawa zdarzała się tylko wieczorami. W końcu Diana wybiegła z komnaty i zostałem sam z moim lokajem.

- Paniczu! – odezwał się mocnym głosem – Nie powinieneś tak traktować...

- Nie obchodzi mnie to. – warknąłem i podszedłem do szafy. Wyciągnąłem z niej czarny zestaw przeznaczony na pogrzeby i dni żałoby. – Zawołaj inną pokojówkę. – rozkazałem. Nowa służąca była młoda i widać było, że nie miała żadnego doświadczenia. Początkowo przydzielono ją do mojego brata, ale po tym, jak Diana zdezerterowała to Hellen musiała mnie ubrać. Nie skąpiłem jej przy tym złośliwych uwag, obserwując jak powoli zaczynała płakać. Kiedy skończyła zeskoczyłem z łóżka i trzasnąwszy drzwiami udałem się do pokoju mojego ojca. Wiedziałem, że będzie zły, za mój żalobny strój. W gruncie rzeczy o to mi chodziło. Przemierzyłem wyłożony lśniącymi płytkami korytarz i pokonałem dwa pietra. W

końcu stanąłem przed dębowymi drzwiami i z całej siły zapukałem. Po chwili ozwał się głęboki głos mego ojca, który rozkazał mi wejść. Stanąłem przed nim dumny z siebie. Musiał się wściec, musiał na mnie nakrzyczeć, odezwać się do mnie.

- Czego chcesz?

- Oznajmić ci, że dziś umieram. – odparłem – Dlatego ubrałem się w czern.

Nie odezwał się. Błady ślad zainteresowania moją osobą zniknął tak szybko jak się pojawił i ojciec znów skupił całą swoją uwagę na dokumentach.

- Umrę! – zagroziłem – Umrę i nic nie zrobisz.

Dalej nie zwracał na mnie uwagi. Nie wiedziałem czy nie miał ochoty, czy wcale mnie nie słuchał. Zacząłem symulować, że się duszę. Upadłem na podłogę.

- Kiedy już skończysz, idź się przebrać. – mruknął tylko, nawet na mnie nie patrząc.

Drzwi skrzypnęły i do środka wszedł mój lokaj. Był przerażony, patrzył to na mnie leżącego na podłodze, to na mojego ojca.

- Wybacz panie, nie upilnowałem go.

- Niech zmieni strój. – rozkazał – Nie przystoi nosić żałoby, gdy wszyscy są zdrowi.

Nie byli. Ja nie byłem. Byłem chory, bo nikt mnie nie kochał. Byłem chory i to była jego wina.

Wina mojego ojca. Czułem wtedy nieopanowaną, nieznośną nienawiść. Jak gdyby rozsadzającą mnie od środka falę gorąca, która zalewała każdą część mojego ciała.

Chciałem krzyczeć. Wyrzucić mu wszystko, ale słowa zastygały mi w gardle bezgłośnie.

Lokaj wywłókł mnie z pokoju i poprowadził do mojej komnaty. Nic nie mówił. Jak zwykle zachowywał stoicki spokój, co irytowało mnie w tamtej chwili najbardziej. Byłem wściekły. To

ja powinienem być najważniejszy, ja, nie dokumenty, nie służba. JA!

- Powinieneś mieć szacunek wobec ojca. Paniczowi nie przystoi...

- Nie jest moim ojcem. – wypaliłem.

- Nie możesz tak mówić! – skarcił mnie zirytowanym tonem.

- A ty kim jesteś, żeby mi zabraniać? – krzyknąłem – On mnie nie chce! Nigdy mnie nie

chciał. Mnie, ani Kserksesa. Tak nie robią rodzice! Nie są tacy dla swoich dzieci!

- Twój ojciec jest dobry, tylko ma dużo na głowie. – powiedział mężczyzna łagodniej – Kocha was najmocniej na świecie!

- Kłamiesz! – puściłem się biegiem w stronę biblioteki.

Słyszałem sypiące się za mną przekleństwa, wyrazy gniewu. Jednak służący nie biegł za mną. Pewnie miał mnie już dość po tych wszystkich latach. Wszyscy mieli. Przystanąłem przed wejściem na wąskie, kręcone schody południowej wieży. Moja biblioteka. Miejsce, gdzie mogłem być sam ze sobą bez nauczycieli, lekcji, służby. Strome schody, o wyślizganych stopniach utrudniały mi bieg. Kilka razy się potknąłem, upadłem i obitem sobie żebra, ale wstałem. Biegłem dalej, mimo pewności, że nikt mnie nie gonił. Taka bezsensowna zabawa. W tamtych latach miałem dużo bezsensownych zabaw. Lubiłem uprzykrzać życie służbie, straszyć młodszego brata, wściekać się na mojego ojca, biegać po pałacu i rzucać porcelanowymi naczyniami. Ot tak, dla kaprysu. W bibliotece jak zwykle panował wszechwładny, zatęchły zapach starych ksiąg. Kierowałem się nim wśród wysokich, gubiących się w sklepieniu regałów, aż dotarłem do miejsca, gdzie zapach był najintensywniejszy. Zaciągnąłem się nim i trochę uspokoiłem. Moje miejsce, to najbardziej odległe od wszystkich i wszystkiego, to, w którym byłem sobą bez względu na otaczających mnie na co dzień ludzi i ich wydumane zasady. Próbowali poukładać w mojej głowie to, co im wpajano przez lata, mimo, że sami w to nie wierzyli. Czasem wydawało mi się, że ci wszyscy ludzie tak naprawdę w nic nie wierzyli. W gruncie rzeczy, ja też w nic nie wierzyłem.

Stanąłem naprzeciwko obitego ręcznie wyszywanym materiałem fotela. Prawdopodobnie mebel pamiętał jeszcze czasy sprzed Tyrana i Rady. Było w nim coś z dawnych lat wolności

bez ucisku i terroru. Opadłem na niego i rozejrzałem się z zaciekawionym. Przeczytałem większość ksiąg z biblioteki, ale nigdy nie byłem w dziale dokumentów i prywatnych papierów ojca. Były zamknięte na klucz za dębowymi, potężnymi drzwiami. Nigdy przedtem mnie specjalnie nie interesowało co ojciec chciał tak skrupulatnie ukryć przed światem. Tego dnia postanowiłem jednak to zmienić. Trochę na przekór, trochę z nudy i trochę z ciekawości. Może to był błąd, ale obiektywnie rzecz biorąc ta jedna decyzja zmieniła wszystko co nastąpiło później. Wstałem z fotela i podszedłem do drzwi. Nawet nie odczuwałem najmniejszego oporu przeciw naruszeniu prywatnej przestrzeni i sekretów ojca. Najwyczajniej w świecie nacisnąłem klamkę. Otwarte? Zdziwiłem się, ale nie przerwałem operacji „przekraczamy granicę tatusia”. Wewnątrz było okropnie ciemno. Czarny otwór wejścia zionął nieprzeniknionym mrokiem. Przyznam, że to był moment, gdy się bałem. Niestety jednocześnie odczuwałem nieodpartą chęć wejścia do środka. Po omacku znalazłem włącznik światła i przede mną rozbłysnęły trzy olbrzymie żyrandole. Zmrużyłem oczy i postąpiłem kilka kroków na przód. Minąłem kilka regałów oznaczonych jako „rachunki podatkowe” i pospieszyłem do półki podpisanej „do spalenia”. Spoczywały na niej uporządkowane wedle roczników teczki. Kierowany dziwnym przeczuciem wyciągnąłem dokumenty sprzed trzynastu lat. Rok moich urodzin. Pospiesznie przejrzałem teczkę, ale nie znalazłem nic prócz planów wymordowania jakiejś rodziny z Tall – Allama i zapis rozkazów od Tyrana. Kolejne trzy lata i wciąż to samo. Zapewne ta rodzina musiała zależeć Radzie za skórę, bo rozkaz brzmiał: „Wymordować wszystkich”. Doczytałem się, że było to hrabiostwo sprzeciwiające się rządowi magów. Ojciec, matka i trójka dzieci w tym jeden noworodek i jeden trzylatek. „Byłem wtedy w tym samym wieku...” pomyślałem i po chwili wszystko stało się jasne. „12:00 czasu północnego, równina Tii – Allama. Trzy trupy w spalonym dworze: hrabia Sillari, hrabina i Jannet. Ciało dwóch synów Aleksandra i Kserksesa nie odnalezione, prawdopodobnie spłonęli w pożarze. Egzekutor: Lord Kain DaMarazzi. Wyrok wykonany na rozkaz Jego Wysokości i ku chwale i czci Najwyższej Rady.” W mojej głowie kołatała się jedna myśl, myśl niedająca mi spokoju. Mój sen. Sen, który prześladował mnie odkąd pamiętałem nie był tylko snem. To była prawda i mimo, że to wspomnienie musiało się przez te dziesięć lat zniekształcić, było jedyną pozostałością po moich prawdziwych rodzicach. Po osobach, które naprawdę mnie kochały.

- Aleksandrze DaMarazzi! Co ty tu robisz? – to był nie kto inny jak mój ojciec. Mój zdenerwowany, przybrany ojciec we własnej osobie.

W innej sytuacji cieszyłbym się z osiągniętego celu, ale nie wtedy. Udało mi się go zdenerwować, zmusić do zwrócenia na mnie uwagi, ale nie czułem żadnej satysfakcji. Tylko ból i zawód większy niż kiedykolwiek. Wypuściłem teczkę z drżących rąk i osunąłem się na kolana. Do oczu napływały piekące łzy, mimo, że walczyłem z nimi ile sił. Nie chciałem, by zobaczył jak płaczę. Drzwi skrzypnęły, a ja mnie miałem sił na niego patrzeć. Mój wzrok utonął we łzach i szarości bibliotecznego posadzki.

- Tu jesteś! – ryknął Lord Kain. – Synu, co ty...

- Nie jestem twoim synem. – odparłem nawet na niego nie patrząc – Nigdy nim nie byłem.

- Co ty mówisz... - zamilkł, bo spostrzegł leżącą przede mną teczkę. Schylił się i delikatnie ją podniósł. – Umówmy się tak: ja zapominam o tym, że włamałeś się do dokumentacji, a ty zapomnisz o tym, co przeczytałeś. Dobrze?

- O tym się nie zapomina. – wymamrotałem i wstałem ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę

– Nie zapomina się, nie wybacza się i nie rozumie się.

Milczał. Po raz pierwszy naprawdę chciałem by milczał. By nie umiał mi nic odpowiedzieć. Powolnym krokiem przeszedłem obok niego i skierowałem się do wyjścia. Nie próbował mnie zatrzymać.

- To nie była moja wina. – powiedział – Dostałem rozkaz i go wykonałem. Wy też mieliście nie żyć, ale nie mogłem zabić dzieci. Nie umiałem. Chciałem, żebyście mieli dobre życie i tylko tak mogłem... Rozumiesz?

Nie chciałem rozumieć.

- Kiedy mówiłem ci dziś, że umrę, to nie myślałem, że to będzie tak bolało.

Odgłos kroków na posadzce należał do mnie, lecz nie byłem w stanie go słuchać. Czułem się jeszcze bardziej niechciany niż zwykle. Jak niepotrzebny wyrzut sumienia mojego przybranego ojca przypominający mu jak bardzo zepsutym człowiekiem się stał. Twarze służących przesuwaly się po bokach jak bezbarwne obrazy o krzywych, smutnych i sztucznych rysach. Może coś mówili, ale ja wciąż nie mogłem oderwać się od widoku teczki i bezradności lorda Kaina. Komnata Kserksesa była niewielka i cicha. Mój brat spał na swoim łóżku z lekkim uśmiechem tańczącym na bladych wargach. Podeszedłem do niego cicho i dotknąłem jego ramienia. Otworzył oczy.

- Aleks. – mruknął – Co robisz?

- Zabieram cię stąd. – odparłem i pomogłem mu wstać.

- Czemu?

- Zrozumiesz za jakiś czas.

Widziałem, że był przerażony, ale ufał mi i chciał iść ze mną. Ruszyliśmy w stronę drzwi, lecz drogę zagroził nam przybrany ojciec.

- Kserksesie, twój brat jest chory, nie wie co mówi.

- Ja nie wiem? – krzyknąłem – Opowiedz mu, co zrobiłeś naszym prawdziwym rodzicom! Mów!

- Nie wiem o czym mówisz, synu.

- Nie nazywaj mnie tak!

Złapałem Kserksesa za rękę i oboje pobiegliśmy w stronę wyjścia z pałacu. Mój brat oponował, ale podążał za mną i to wystarczyło. Chciałem zabrać go z tego domu. Od ludzi, którzy wymordowali nam rodzinę. Byliśmy już za bramą i szliśmy w kierunku lasu, gdy padły pierwsze strzały. Widziałem w oczach Kserksesa przerażenie, ale biegłem dalej zalany słońcem gościńcem upatrując jedyne go wybawienia w gęstwinie drzew przed nami. Strzały, setki strzał. Nie chciał. Nasz przybrany ojciec nie chciał, aby ktokolwiek wiedział co zrobił, kim był tak naprawdę. W miarę kolejnych śmigających nad naszymi głowami strzał coraz bardziej go nienawidziłem. Pies na służbie Tyrana i Rady. Pogarda i gniew przeradzające się powoli w gorącą chęć zemsty towarzyszyły mi już zawsze. Nagle Kserkses się przewrócił. Odwróciłem się i zobaczyłem, że jedyna osoba, którą kochałem leży bez czucia z wbitą w plecy strzałą. Chciałem wrócić, pomóc mu, zrobić cokolwiek, ale okazałem się najzwyklejszym tchórzem. Strzały sypiące się z murów mojego dotychczasowego domu rzuciły się na mnie jak rój dzikich pszczoł. Uciekłem. Las osłonił mnie przed dalszym ostrzałem, ale nie mógł obronić przed pieszymi, którzy ruszyli za mną w pogoń. Biegłem długo, nie liczyłem czasu. Tylko płakałem i kluczyłem na oślep pomiędzy drzewami. W końcu całkowicie opadłem z sił i zasnąłem pod jednym z potężnych konarów.

Wraz z gromadą wędrownych elfów-handlarzy, przemierzałem rozległe doliny Arduuru. Równiny ciągnęły się zielenią przez całe kilometry i przytłaczały jednolitą przestrzenią. Tamtego dnia, po mojej ucieczce to właśnie elfy znalazły mnie przemarzniętego w lesie i zabrały ze sobą. Wspomnienia tamtego dnia bolały, a nieograniczona niczym przestrzeń wokół mnie potęgowała jeszcze uczucie osamotnienia i żalu. Moje czarne włosy rozwiewał zimny wiatr, a do uszu dochodziły melodyjne głosy śpiewających elfów. Ich pieśni były

smutne. Rozdzierające duszę samymi nutami. Nie byłem w stanie zrozumieć słów, ale wiedziałem, że śpiewają o czymś strasznym, bolesnym i smutnym. Czymś takim jak moje wspomnienia. Odczuwałem pewien rodzaj zadowolenia, że moje cierpienie ma wymierną, prawie namacalną formę. Dźwięki zlewały się w jeden głos domagający się sprawiedliwości, której nie miał nigdy doświadczyć. Tak wyobrażałem sobie treść tej pieśni. Chciałem by mówiła o mnie. Gdy po paru latach w końcu nauczyłem się ich języka, zrozumiałem, że słowa tych ballad mówią o ich utraconym kraju, wolności i chęci powrotu do Wiecznych Puszczy. Trochę mnie to rozczarowało. Już nie czułem, że ten utwór mnie dotyczył. Gdy to zrozumiałem straciłem swój bezgraniczny zachwyt pieśniami, ale owszem wciąż podobała mi się ich melodia i dźwięk słów. Wtedy zrozumiałem, że czasem wiedza raczej przeszkadza niż pomaga człowiekowi w zmaganiach z życiem.

- Naucz mnie waszych zaklęć. – poprosiłem pewnego dnia Temassadi, mojego opiekuna.

- Nawet gdybym chciał, nie mógłbym. – odparł nie przerywając tkania prawie przezroczystego materiału – Sam ich nie znam.

- Jak to? – zdziwiłem się – Przecież wszystkie elfy je znają.

- Tylko leśne elfy, a i tak nieliczne posiadają zdolności magiczne.

Postanowiłem sam nauczyć się czarów. Odtąd za każdym razem gdy zajeżdżaliśmy do jakiegokolwiek miasta prosiłem mojego opiekuna by kupił mi jakąś książkę. Szukałem tomów poświęconych magii i czasem udawało mi się takie znaleźć na targach i w sklepach schowanych przed zwykłymi przechodniami w ciasnych zaułkach. Tessimadi kupował mi te książki nie mając pojęcia czym były. Moi towarzysze nie znali języka ludzi z Ardu. Ewentualnie potrafili mówić Mową Powszechną, ale i to nie wszyscy. Uczyłem się zaczynając od najprostszych, związanych z naturą zaklęć i przepowiadania przyszłości. Szło mi nawet nieźle, ale wciąż chciałem być lepszy i lepszy. Po czterech latach umiałem już rzucać uroki. Wtedy na poważnie zajęły mnie myśli związane z zemstą na Tyranie i lordzie Kainie. Wiedziałem jednak, że byłem jeszcze zbyt słaby i złościło mnie to jak nic innego. Czasem w nocy odłączałem się od towarzyszy i biegłem ile sił przed siebie by poza zasięgiem ich wyczulonych uszu móc wykrzyknąć całą moją wściekłość. W moje siedemnaste urodziny zaświtał dla mnie promień nadziei. Damiri, wódz naszej grupy zakomunikował wszystkim, że Tyran złożył zamówienie na elfickie płaszcze. Uprzedził, że czeka nas dużo pracy i że wybieraliśmy się do stolicy. Dla mnie oznaczało to realną szansę na zemstę. Musiałbym jedynie wkraść się w jego łaski. Nieprzespane noce przy tkaniu płaszczy, były idealną porą na obmyślanie planów. Miałem ich setki, ale żaden nie wydawał mi się dostatecznie dobry. W końcu postanowiłem zdać się na los. W tym czasie pozostawał nam już tylko tydzień drogi.

Do Bathar – Aan, stolicy Ardu dotarliśmy bez przeszkód. Myślałem tylko nad tym jak może wyglądać najokrutniejszy człowiek świata. Za każdym razem, gdy się nad tym zastanawiałem przepełniała mnie przemożna chęć zemsty. Postanowiłem zrobić wszystko, by kiedyś go zabić. Ulice Bathar – Aan były istnym piekłem. Wokoło przewijali się sami pijani awanturnicy w kontraście z bogaczami w swoich rykszach i połączonych powozach. Ludzie jak mrówki mknęli przed siebie. Wokoło mogłem oglądać stoiska zielarzy, wróżbitów i drobnych kupców handlujących czym popadło. Dodatkowo bród i odrażający smród towarzyszyły nam na każdym kroku. Na moich elfickich towarzyszach miasto nie robiło zbyt dobrego wrażenia. Zapewne bywali tam często i zdążyli przywyknąć do wszechogarniającej nędzy tamtejszych ulic. Dla mnie to było nowe, dziwne i okropne zarazem. Myślałem, że za „złotym murem” zobaczę raczej bogactwo, przepych i szczęście. Zobaczę jak wygląda dostatnie życie wyższych sfer. Jednak jedynym co tam zastałem były tanie karczmy, bezdomni, żebracy

i odrażający bród. Przemierzaliśmy miasto wąskimi uliczkami starając się nie wpaść na płaczących się pod nogami handlarzy. Widziałem spojrzenia tych ludzi towarzyszące nam na każdym kroku jak stada sępów obserwujących swoją ofiarę. Tęskniłem za bezkresem i wolnością stepów za murami. Nie chcąc dłużej oglądać tej biedy podniosłem wzrok. Na szczycie mającego w centrum Bathar – Aan wzgórza wznosił się olbrzymi pałac o tysiącu wspaniałych wież. Górował nad miastem i wszystkim w okolicy. Był jednocześnie wspaniały i przegniebiający. Pełen kontrastów jak cała stolica. Z jednej strony widziałem w nim najpiękniejszą budowlę daną mi do tej pory oglądać, z drugiej siedzibę osoby, którą z całych sił pragnąłem zabić. Ucieleśnienie zła zamieszkało w ńście boskim domu. Po prawie półgodzinnej wędrówce dotarliśmy do bram pałacowego terenu. Całe wzgórze było otoczone murem, tak, by nikt nie mógł wejść do pałacu bez wyraźnego pozwolenia ze strony Jego Wysokości. Przepuszczono nas. Dalej bramy samego pałacu też stanęły przed nami otworem. Weszliśmy do ogromnego korytarza o wysokim sklepieniu zdobionym freskami i złożonymi żyrandolami. Uderzyło mnie bogactwo tej niezwyklej, przesadnie wielkiej rezydencji Tyrana. Doznałem szoku po przejściu z dzielnic nędzy do tak bezwstydnego wręcz przepychu. Szliśmy olbrzymimi korytarzami niosąc ze sobą kosze z materiałami, prowadzeni przez pałacową służbę. Wreszcie zostaliśmy wpuszczeni do sali audiencyjnej, gdzie na złotym tronie zasiadał monarcha. Odziany w szkarłat ze złotą koroną na głowie. Był młodszy niż przypuszczałem. Spodziewałem się brodatego starca o szalonym spojrzeniu i odrażającej, pomarszczonej twarzy, a tymczasem zobaczyłem przed sobą czterdziestolatka o jasnobrązowych włosach i jasnych, dużych oczach. Wydawał się znudzony czekaniem na nas. Moi towarzyszy z szacunkiem skłonili się temu człowiekowi, więc i ja tak uczyniłem. Czuję do siebie odrazę, że poniżyłem się do okazania mu czci. Byłem na siebie wściekły jak nigdy przedtem i chciałem rzucić się na niego ze sztyletem, ale z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że muszę żyć, by kiedyś odpłacić mu za krzywdy.

- Damiri, czy tak? – odezwał się Tyran – Kazaliście na siebie długo czekać.

Jego głos był głęboki, ale dość cichy. Patrząc na tego niepozornego człowieka nigdy bym nie przypuszczał, że mógł być aż tak potężny.

- Wybacz nam panie, ale droga była długa, a posłaniec znalazł nas dopiero trzy tygodnie temu, dzień drogi od Doliny Loren.

- Mam nadzieję, że te płaszcze będą warte mego straconego czasu.

Zadziwiła mnie pokora z jaką Damiri rozmawiał z Tyranem. Elf biegle posługiwał się Mową Powszechną, lecz głos drżał mu jak uczniowi podczas pierwszej wypowiedzi w innym języku niż jego ojczysty.

- Pokażcie, co przywieźliście. – władca wstał z tronu i podszedł do nas. Zbliżał się powoli, dostojnie. Było w nim coś niepokojącego. Spojrzał na mnie. Nie podniosłem wzroku, ale czułem, że się patrzył, czułem jego przeszywające spojrzenie i próbowałem powstrzymać się przed atakiem. Skierował się w moją stronę i stanął tuż przede mną.

- Co człowiek robi wśród elfów? – spytał.

- Jestem sierotą, panie – odparłem – oni mnie przygarnęli.

- Miejsce ludzi jest wśród ludzi. – skwitował i wyciągnął z mojego kosza jeden ze srebrnych płaszczy. Obejrzał go dokładnie i sprawdził jego wytrzymałość. W tym czasie biłem się z myślami czy uderzyć i zabić go, czy nie ryzykować i poczekać na dogodniejszą okazję. Bałem się co prawda, że taka okazja już się nie nadarzy, ale wiedziałem, że gdybym zaatakował w tamtym momencie, niechybnie bym zginął. Podałem się i postanowiłem wytrzymać jakoś spotkanie z tym człowiekiem.

- Są do przyjęcia – powiedział w końcu i wezwał sługi, by zabrali towar i zapłacili Damiri.

Wszyscy pokłoniliśmy się i czym prędzej opuściliśmy komnatę i pałac. Wróciliśmy do miasta i

przywódca rozdał nam pieniądze. Dostałem tysiąc regli. Odkąd opuściłem dwór mego przybranego ojca nie widziałem takiej sumy na oczy, co dopiero mieć tyle pieniędzy na własność. Postanowiłem poszukać ksiązek. Wewnątrz żałowałem, że nie zabiłem Tyrana gdy miałem ku temu okazję. Chciałem zapomnieć o wszystkim, więc zatopiłem się w cuchnące uliczki Bathar – Aan. Po kilku godzinach zabłąkałem się do ciemnego zaułku cichszego niż inne części miasta. Spostrzegłem tam sklep o nazwie „*Magia Użytkowa i Zioła*”. Poszedłem więc w tą stronę i niepewnie wszedłem do środka. Wewnątrz poczułem dawno zapomniany już zapach starych ksiąg, który przepełnił mnie radością. Poczuję się jak w domu.

- Mam to dla pana, panie Vallderburze. – doszedł mnie nieznajomy głos.

- Nareszcie. – drugi mężczyzna odpowiedział z nieskrywanym zadowoleniem. – Dużo za to chcesz?

- Pięćset regli.

- Dam czterysta.

- Długo szukałem łusek smoka – mruknął pierwszy mężczyzna – Ale mogę sprzedać za czterysta pięćdziesiąt.

- Zgoda, jeśli dorzucisz żabie nogi.

- Znowu? – zawołał niewątpliwie zdziwiony – Ile ty tego zużywasz? Co tydzień bierzesz sto.

- Sam wiesz, że nasz pan musi wiedzieć co się stanie.

- Wiem. – mruknął tamten.

Usłyszałem kroki na drewnianej posadzce i po chwili do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn. Pierwszy odziany w proste, kupieckie szaty był zdecydowanie młodszy. Trzydniowy zarost i sine cienie pod oczami nadawały mu niechlujny i odpychający wygląd. Drugi miał siwe, długie włosy i nosił bogate szaty ewidentnie wskazujące na wysokie stanowisko. Na nos założył niewielkie okulary dodające mu lat.

- To co? Dodasz te nogi? – spytał.

- Tak – zgodził się sprzedawca niechętnie i odebrał od mężczyzny sakiewkę pieniędzy. W zamian położył na wysłużonym, drewnianym blacie czarny woreczek. Ten schował go pośpiesznie do wewnętrznej kieszeni swego bogato wyszywanego płaszcza. Już chciał udać się do wyjścia, gdy spostrzegł mnie. Oprócz zdziwienia na jego twarzy malował się pewnego rodzaju strach.

- Kim jesteś? – spytał.

- Przybyłem z elfami do Króla, by przywieźć mu tkane płaszcze. – odparłem.

- Słyszałem – mruknął tamten – Jak się nazywasz?

- Aleksander, panie.

- Nazwisko? – zdawał się niecierpliwie.

- Nie mam go, panie – powiedziałem – jestem sierotą.

Sprzedawca przyglądał się temu wszystkiemu z zaciekawieniem. Tymczasem tajemniczy mężczyzna podszedł do mnie bliżej i przyjrzał się mi dokładniej.

- Czy ty nie jesteś synem Sillarich?

Od tego momentu postanowiłem zostać uczniem tego człowieka. Nie wróciłem z elfami na równiny i bezpowrotnie rozstałem się z moim opiekunem Tessamadim. Od teraz krok w krok podążałem za Vallderburem, który stał się moim mentorem. Był to dość oschły w obyciu człowiek, służący Tyranowi za nadwornego maga. Znał wszystkie zaklęcia. Magię białą i czarną, ziołarstwo, sporządzanie trucizn. Posiadał wszystkie te umiejętności, które ja pragnąłem za wszelką cenę zdobyć. Nie miałem wtedy pojęcia czemu tak szybko zgodził się zostać moim nauczycielem ani skąd znał moje prawdziwe nazwisko. Vallderbur był tajemniczy, ale stanowił też moja przepustkę na zamek i drogę do zemsty. Nie mogłem

przegapić takiej szansy. Nauka u maga nie należała do łatwych, ale starałem się za wszystkich sił. Biegałem do sklepiku w ciemnym zaułku i lepiej poznałem Torezzo, sprzedawcę, który pochodził z południa i uwielbiał wszystkie kobiety jakie napotkał. Często spotykałem go w towarzystwie kurtyzan, które raczył tanim winem w swoim sklepiku. Denerwował się wtedy, ale nie wyrzucał mnie i zawsze wracałem ze wszystkim czego mój mistrz potrzebował do swoich czarów. Biała magia była dla mnie jak oddychanie. Przychodziła mi bez problemów i po roku potrafiłem zrobić już za jej pomocą prawie wszystko. Od czasu gdy podróżowałem z elfami ani razu nie byłem na zamku. Dom Vallderbura znajdował się bowiem poza pałacem, w dzielnicy biednej, ale spokojnej. Zajmowaliśmy dwie izby na poddaszu, gdzie znajdowało się jeszcze jedno ukryte pomieszczenie będące pracownią mego mistrza. Pozwalał mi tam przebywać tylko w jego obecności, co było zrozumiałe biorąc pod uwagę moją skłonność do eksperymentowania z eliksirami. Wszystko szło po mojej myśli, a Vallderbur mówił, że opowiadał o mnie Tyranowi. Powiedział, że król chciałby mnie poznać. Nie mogłem doczekać się tej chwili. Pewnego dnia w dzień moich urodzin stało się coś dziwnego. Obudziłem się z krzykiem w środku nocy, ale ze zdziwieniem spostrzegłem, że nie byłem w domu Vallderbura, tylko w pięknej komnacie, której ściany zdobiły ręcznie tkane arras. Leżałem na miękkim łóżku wyścielonym jedwabiem. Podobnie wyglądał mój dom u Lorda DaMarazzi, ale byłem pewien, że to nie był tamten dwór. Nagle, mimo, że nie miałem najmniejszego zamiaru zeskoczyć z łóżka i pobiegłem do sąsiedniego pomieszczenia, które okazało się być łaźnią. Zbliżyłem się do wielkiego lustra i gdy w nie spojrzałem skamieniałem ze strachu. Zamiast moich czarnych włosów i jasnoniebieskich oczu zobaczyłem twarz Tyrana. Był roztrzęsiony, zlany zimnym potem, a brązowe włosy przykleiły się do jego wysokiego czoła.

- Kto jest w mojej głowie? – zawołał – Kto?

Nie śmiałem nic powiedzieć, bojąc się, że się zdradzę. Czekałem w napięciu, a król coraz bardziej przerażony, zaciskał dłonie na brzegach wielkiej miednicy. Podniósł rękę i z całych sił uderzył pięścią w lustro. Szkło posypało się z brzękiem i ukazało znajdujący się za nim ceglany mur. Po chwili ozwał się cichy, kobiecy głos:

- Amonie, co się stało?

Tyran nie odpowiadał. Patrzył na krwawiącą dłoń, a ja widziałem to samo jego oczami. Co gorsza czułem pulsujący ból w nadgarstku i ciepłą krew spływającą po moich palcach. Koło króla stanęła piękna, młoda kobieta o jasnych, niebieskich oczach i czarnych włosach. Miała bardzo delikatną skórę koloru kości słoniowej.

- Znowu ktoś jest w mojej głowie. Przecież Sillari nie żyją, jak to możliwe?

- To złudzenie mój drogi. – powiedział głaszcząc go po włosach – Tylko zły sen. Wracaj do łóżka.

Patrząc w jej cudowne oczy nie mogłem oprzeć się pożądaniu. Była niesamowicie piękna. Czułem jej ciepły dotyk na moim torsie, jej usta na moich. Po chwili uświadomiłem sobie, że tak naprawdę widzę tylko świat z perspektywy Amona. W tym momencie otworzyłem oczy. Nie mogłem złapać oddechu i byłem cały zlany zimnym potem. Z moich ust wyrwał się krzyk. Nie miałem pojęcia co się działo i bałem się tego.

- Aleksandrze – usłyszałem głos Vallderbura – Co się stało, chłopcze?

Opowiedziałem mistrzowi swój przedziwny sen. Słuchał wszystkiego w skupieniu i z powagą prawdziwego mędrca. Gdy skończyłem wstał i zaczął krążyć po mojej izbie.

- Tak jak przypuszczałem – wyszeptał – Aleksandrze, muszę wyjaśnić ci pewne sprawy. Nadszedł już czas.

Spojrzałem na niego trochę zdziwiony, trochę niepewny, ale postanowiłem wysłuchać mistrza.

- Twoi rodzice byli niegdyś moimi przyjaciółmi. Odwiedzałem ich aż do czasu, gdy sprzymierzyli się z buntownikami. Byłem tchórzem, Aleksandrze i nie chciałem narażać życia. W każdym razie twoja matka była siostrą Amona. Co prawda z nieprawego łoża, ale siostrą i do tego starszą. Tyran bał się, że to ona przejmie tron jako ukochana córeczka ich ojca. Dlatego postanowił podsunąć mu myśl, by wydać Meridię za męża. Ona jednak nie chciała wyjść za dużo starszego od siebie władcę Lotcji i uciekła na północ wraz z hrabią Sillarim. Początkowo nie opowiadali się oni po żadnej ze stron konfliktu między królem i Rebelią, ale po objęciu rządów przez Amona przystąpili do buntowników. – zrobił krótka przerwę, po czym kontynuował – Między królem a twoją matką zawsze istniała dziwna więź. Meridia potrafiła słyszeć jego myśli i widzieć jego oczami. Nie działało to w drugą stronę, gdyż Amon nigdy nie potrafił pokochać siostry i jedynym uczuciem jakie do niej żywił była zimna nienawiść. Twoja matka mimo wszystko kochała brata i nie umiała przyznać, że stał się potworem. Dlatego zachowała dar widzenia myśli Amona. Dzięki temu twoi rodzice dostarczali buntownikom informacji o poczynaniach króla. On o tym wiedział, czuł jej obecność w swoich myślach. Wtedy zwrócił się do mnie. Chciał abym mu pomógł. Początkowo odmawiałem, ale zmuszono mnie i zdradziłem twoich rodziców. Wtedy Amon rozkazał wszystkim was zabić. Jak widać nie powiodło mu się to i żyjesz.

- Ty... – spojrzałem na niego niepewny tego co właśnie usłyszałem – Ty wydałeś moich rodziców? Ty ich zdradziłeś?

Vallderbur milczał, ale wiedziałem już, że to prawda. Czułem się zawiedziony przez cały świat. Jedyna osoba, którą zdołałem obdarzyć zaufaniem po tym co przeszedłem okazała się zdrajcą jak wszyscy inni do tej pory.

- Zabiję cię. – powiedziałem spokojnie chwytając za sztylet.

- Rozumiem. – odparł i stanął przede mną bez broni – Ale rozważ to jeszcze. Nie nauczyłem cię wszystkiego, a jeśli chcesz zabić Amona, nie wystarczy ci sama biała magia, a czarnej jeszcze nie poznałeś. – westchnął ciężko – Tyran jest silny. Zna staroelfickie zaklęcia, a żeby je przełamać będziesz musiał użyć zakazanych uroków.

- Chcesz mi pomóc go zabić? – zdziwiłem się, ale nie opuściłem sztyletu wciąż grożąc nim mojemu mistrzowi. – przecież mu służysz.

- Tyran nie jest uwielbiany nigdzie, nawet wśród swoich sług. – uśmiechnął się smutno.

Vallderbur uczył mnie dalej. Szybko przekonałem się, że czarna magia to okrutnie ciężka i niewdzięczna praca. Każde nowe zaklęcie wymagało ode mnie znalezienia wewnątrz pokładów ciemności. Gdyby nie wsparcie mistrza niechybnie bym oszalał. Zła strona mnie chwilami brała nade mną górę i wybuchałem niepocharowaną złością. Vallderbur miał na to magiczne sposoby. Mówił, że podczas nauki czarnej magii takie rzeczy się zdarzają i że po jakimś czasie uda mi się zapanować nad sobą. Starłem się, uczyłem ponad siły. Wciąż odwiedzałem mały sklepik Torenzso, który sprowadzał dla nas najdziwniejsze i najbardziej wyszukane składniki mikstur i eliksirów. Warzenie trucizn i leków stało się jednym z moich najczęstszych zajęć. Vallderbur uczył mnie, że wywary są nieodłączną częścią czarnej magii i że będę musiał w każdej chwili być przygotowany ich użyć. Musiałem też nauczyć się medytować i panować nad myślami, ukrywać moje prawdziwe zamiary przed innymi. Gdy tego nie opanowałem mógłbym zdradzić się przed Tyranem podczas gdy obserwowałem jego poczynania jego własnymi oczami. Było to dziwne uczucie. Stawałem się w tamtych momentach kimś zupełnie innym jednocześnie zachowując swoją świadomość. Uczyłem się ją maskować. Ukrywać obecność mojej osoby w jego myślach, tak by nie mógł się zorientować, że w nich byłem. Jednak pewnej nocy wszystko zaprzepaściłem. Trochę z głupoty, trochę z braku panowania nad emocjami. Śledziłem akurat każdy ruch Amona, który krążył bez celu po korytarzach swego pałacu.

Zdołałem poznać już cały zamek i pamiętałem każdy korytarz. Wiedziałem gdzie co jest i jak dostać się z jednej komnaty do innej. Jeśli chciałem go kiedyś zabić, to musiałem się tego dowiedzieć. Tyran zatrzymał się przed ogromnymi drzwiami prowadzącymi do jednego z salonów. Otworzył wrota i stanął wewnątrz sporego pomieszczenia o wysokim, połączonym suficie. Ustawiono w nim obite bordowym aksamitem fotele i sofę. Na niej siedziała piękna kobieta. Była to żona Amona, kobieta o jasnych oczach i kruczoczarnych włosach. Jej nieziemska uroda zawładnęła moim sercem całkowicie i nie mogłem przy niej myśleć o niczym innym. Vallderbur ostrzegał mnie przed takimi sytuacjami. W jej obecności nie mogłem skupić się dostatecznie na ukrywaniu swojej świadomości i tyran mógł z łatwością zorientować się, że go obserwuję. Mimo tego nie chciałem przestawać, pragnąłem zostać tam jeszcze chwilę i móc patrzeć na tą cudowną kobietę. Wstała i uśmiechnęła się smutno.

- Mój drogi...

- Wybacz, że na mnie czekałaś. – powiedział – Miałem kilka spraw do załatwienia.

Poczułem jej pocałunek. Gorący i nieziemsko zmysłowy. Na chwilę zapadła cisza.

- Ktoś tu jest. – powiedział Tyran – Znowu! Kim jesteś? Kto mnie prześladowuje?

Mężczyzna zaczął przewracać krzesła, zrywać zasłony. W swoim szaleństwie wybiegł z komnaty i skierował się prawym korytarzem do pokoju straży. Kątem oka zobaczyłem jeszcze paniczny strach w spojrzeniu tej pięknej kobiety.

- Vallderbur! – ryknął Tyran – Przyprawdźcie go natychmiast! I jego ucznia też!

Żołnierze wybiegli z zamku, a ja obudziłem się w swoim łóżku. Pobiegłem do mojego mistrza i potrząsnąłem nim, żeby się obudził.

- Aleksandrze, wiesz która jest godzina? – zganiał mnie poirytowany.

- Żołnierze po nas idą!

Gdy stanęli w progu byliśmy gotowi. Udając zaskoczenie daliśmy się zaprowadzić przed oblicze Tyrana. Po raz drugi w życiu stanąłem w sali tronowej patrząc w oczy tego człowieka. Król miał nieobecny wzrok i wyglądał jakby od kilku dni nie zmrużył oka. Poszarzała skóra nadawała mu wygląd iście przerażający, jakby właśnie wstał z grobu.

- Pomóż mi. – powiedział patrząc na mojego mistrza błagalnie. – Ktoś znów jest w mojej głowie... - przerwał i przeniósł wzrok na mnie. Skłoniłem się i utkwilem spojrzenie w podłogę.

- Czy my już się gdzieś nie spotkaliśmy młody człowieku? – spytał.

- Nie, wasza wysokość, to niemożliwe. – skłamałem.

- Trudno. – mruknął i zwrócił się do Vallderbura – Kto to? Kto mnie prześladowuje? Czy to ten dzieciak?

- Dlaczego on miałby śledzić twe myśli panie? – spytał z pokorą czarownik – To niemożliwe.

- Nikt inny nie jest w stanie używać tak skomplikowanej magii, a ten chłopak wygląda jak kopia mojej starszej siostry! Gadaj starcze!

Vallderbur milczał. Bił się z myślami nie wiedząc czy powinien mnie wydać czy chronić do samego końca. Nie mogłem pozwolić żeby się narażał i już miałem się przyznać, ale odezwał się pierwszy:

- To ja panie. – powiedział – Spiskowałem przeciwko tobie z buntownikami i musiałem znać twoje kroki. Wybacz mi.

Później wpadli żołnierze. Nie pamiętam zbyt wiele z tamtej chwili. Wiem tylko, że go aresztowano i wyznaczono datę wyroku śmierci. Pamiętam też, że nic wtedy nie zrobiłem. Pozwoliłem mu umrzeć zamiast mnie. Nie sprzeciwiłem się, nie próbowałem go bronić. W końcu pozostałem sam na sam z Tyranem. Wciąż nie mogłem zrozumieć co się stało i dlaczego nie przyznałem się zamiast Vallderbura. Jeszcze przez chwilę miałem ochotę

powiedzieć, że to ja, ale po dłuższym zastanowieniu takie rozwiązanie było mi bardziej na rękę. W końcu gdybym się przyznał prawdopodobnie i tak nie ocaliłbym jego życia.

- Wiedziałaś o tym? – spytał Amon

- Nie panie, nie miałem pojęcia. – powiedziałem – Czy w takim razie ja będę mógł zostać twym najwyższym magiem? Będę mógł zastąpić Vallderbura?

Mężczyzna zastanawiał się dłuższą chwilę.

- Dobrze. Ale jutro przenosisz się do zamku. Nie mogę ryzykować, że kolejny czarownik sprzymierzy się z buntownikami.

- Jak sobie życzysz mój panie – skłoniłem się i odszedłem spakować wszystkie niezbędne rzeczy.

Następnego ranka znów odwiedzili mnie żołnierze. Tym razem pomogli mi przenieść wyposażenie laboratorium i wszystkie książki od pałacu. Otrzymałem tam niewielki pokójko tuż koło biblioteki. Pierwszym co musiałem zrobić była prosta mikstura dla Amona, gdyż miał problemy ze snem. Wszystko układało się dobrze i po pewnym czasie król zaczął mi ufać. Stałem się dla niego ważniejszy nawet od głównego doradcy. Postanowiłem zbliżyć się do niego za wszelką cenę. Manipulowałem na wszelkie możliwe sposoby, tylko po to, żeby wkraść się w łaski mojego największego wroga. Udawało się. Mimo, że czułem przez to coraz większe obrzydzenie i nienawiść wobec samego siebie, starałem się. Wyeliminowałem większość najbardziej zaufanych ludzi władcy wrabiając ich w najróżniejsze sprawy. Jednego w kradzież innego w zdradę stanu. Większość została wyrzucona z pałacu, ale część wylądowała w więzieniu. Jednak ja po pewnym czasie przestałem mieć wyrzuty sumienia i nie przejmowałem się ich losem. Cel stał się najważniejszy, nie istotne jakimi środkami miałem go osiągnąć. Czasem przez myśl przechodziło mi dołujące wrażenie, że stałem się taki sam jak mój przybrany ojciec. Lub nawet gorszy. Pewnego dnia gdy przechadzałem się korytarzami i zastanawiałem nad sposobem zabicia Amona trafiłem na komnatę, którą zobaczyłem tamtej nocy, gdy Vallderbur został aresztowany. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Nie miałem nadziei, że ją ujżę, więc jakież było moje zdumienie, gdy zobaczyłem tę prześliczną kobietę siedzącą na jednym z aksamitnych foteli. Żonę Amona, osobę, która wciąż zjawiała się w moich myślach nie dając mi skupić się na niczym innym.

- To ty jesteś tym nowym magiem, prawda? – spytała z uśmiechem.

- Tak, pani. – odparłam oszołomiony jej niezwykłym pięknem.

- Mów mi Elinora. Byłeś uczniem Vallderbura, czy tak?

Przytaknąłem skinieniem głowy. Było w niej coś, co mnie onieśmiało. Blask bijący z jej oczu i szczerość uśmiechu była dla mnie czymś nowym. Nigdy nie spotkałem jeszcze tak prostolinijnej, prawdziwej osoby jak ona. Zostałem porażony jej pięknem i wiedziałem, że już nigdy nie przestanę jej kochać.

- Twój mistrz prosił, abym przekazała ci, że nie ma ci niczego za złe i prosi o wybaczenie.

- Ja nie mam do niego żalu. Dawno mu wybaczyłem. – odparłem.

- Ale nie byłaś na egzekucji. – zauważyła zdziwiona – Dlaczego?

- Zadajesz dużo pytań, Elinoro. – uśmiechnąłem się – Ale odpowiem. Nie chciałem patrzeć mu w oczy po tym wszystkim. Może stchórzyłem...

Milczała. Miałem wrażenie, że mogłem jej powiedzieć o tym co się stało, zwierzyć się. Była taka niewinna i bliska mojemu sercu, mimo, że osobiście spotkałem ją dopiero po raz pierwszy w życiu.

- On mi powiedział. – rzekła w końcu – To ty znasz myśli Amona. Jesteś jego siostrzeńcem, czy tak?

- Nie powinniśmy o tym rozmawiać. – mruknąłem – Nie tutaj.

- Dobrze. – powiedziała poważnie – Spotkajmy się w nocy w bibliotece. Będę czekała o północy.

Nie czekając na odpowiedź odeszła zostawiając mnie w komnacie z mętlikiem w głowie i zalewającym mnie uczuciem miłości. Nie wiedząc co ze sobą zrobić poszedłem przejść się po pałacowych ogrodach. Chciałem ułożyć sobie wszystko w głowie. Elinora, jej znajomość z Vallderburem i to, że zadawała zbyt wiele pytań zajmowało moje myśli do tego stopnia, że nie potrafiłem wrócić do zwyczajnego obmyślenia planu zgładzenia Amona. Najbardziej utkwily mi w sercu słowa dotyczące mojego mistrza: „*Ale nie byłeś na egzekucji. Dlaczego?*”.

Tak naprawdę nie miałem pojęcia czemu nie poszedłem zobaczyć jak Vallderbur umiera. Chyba najzwyczajniej w świecie nie miałem odwagi pokazać mu się na oczy. Byłem tchórzem, ale za to bardzo zdeterminowanym. Musiałem zemścić się za moich rodziców, za brata. Postanowiłem, że zabiję Tyrana za tydzień, tuż po obchodach święta założenia Arduru. Powinien być wtedy mniej czujny niż zwykle, a poza tym większość żołnierzy miała przebywać wtedy na defiladzie ulicami Bathar – Aan. Powinienem mieć w tym czasie szansę. Nieoczekiwanie moje rozmyślenia przerwał król. Dołączył do mnie i razem doszliśmy do placu z ogromną, rzeźbiona fontanną. Było to moje ulubione miejsce w całym ogrodzie. Woda sącząca się z marmurowych rzeźb opadała drobnymi kropelkami na moją twarz, orzeźwiając mnie i pozwalając na logiczne myślenie. Tam usiedliśmy na drewnianej ławce.

- Cieszę się Aleksandrze, że zgodziłeś się zostać moim pałacowym magiem. Gdyby nie ty na pewno nie dałbym rady wyciągnąć z tych złoczyńców prawdy o głównej bazie rebeliantów.

- Jestem z tego powodu rad mój panie. – odparłem.

W gruncie rzeczy miałem idealną okazję do zabicia go. Ogród, bez świadków. Sięgnąłem za pasek, ale po chwili spostrzegłem, że nie zabrałem ze sobą sztyletu.

- Aleksandrze idź teraz do miasta. Potrzebuję więcej serum prawdy.

Poszedłem więc do Torenzso, który zwykle nie był dla mnie uprzejmy. Jednak tego dnia ledwo powstrzymał się przed uduszeniem mnie na miejscu. Myślał, że to ja wydałem Vallderbura i nie mógł mi tego wybaczyć. Kiedy głębiej się nad tym zastanawiałem, dochodziłem do wniosku, że to w istocie była moja wina. Nie dziwiłem się, że miał ochotę mnie zamordować. Z drugiej strony, wiedział jednak, że gdyby coś mi się stało, Tyran kazałby go zabić. Zdawałem sobie sprawę z tego, że tylko z tej przyczyny mnie tolerował. Gdy wróciłem słońce chyliło się ku zachodowi i do spotkania z Elinorą zostało mi jedynie kilka godzin. Sporządziłem w tym czasie kolejne serum prawdy dla Amona i kazałem zanieść mu dwie fiołki. Jedną zostawiłem sobie tak na wszelki wypadek. Później w oranżerii przeczytałem do końca Księgę Czarnej Magii i udałem się do biblioteki. Podświadomie czułem, że Elinora już tam była. Przyspieszyłem więc kroku biegnąc po marmurowych schodach. Serce biło mi jak oszalałe na myśl, że znów ujrzę tę najpiękniejszą kobietę jaką kiedykolwiek spotkałem. Przed drzwiami przystanąłem i poczekałem aż trochę ochłonę. W reszcie wszedłem. Ogromne pomieszczenie zastawione labiryntem drewnianych półek pnących się pod sam sufit jak zwykle urzekło mnie swoją tajemniczą aurą. Rozejrzałem się, lecz wewnątrz nie było nikogo. Byłem trochę rozczarowany, ale wiedziałem, że do umówionej godziny brakowało jeszcze kwadransu. Już miałem zagłębić się w sieć półek, gdy zatrzymał mnie ciepły głos wchodzącej królowej:

- Jesteś wcześniej. Myślałam, że umówiliśmy się o północy.

- Jeżeli chcesz, udam, że jeszcze nie przyszłaś i zjawię się za kwadrans. – odparłem.

- Nie trzeba – uśmiechnęła się – Chodźmy usiąść.

Dwa fotele i niewielki okrągły stolik ustawiono w rogu zachodniej części biblioteki. Usiedliśmy i w ciemności zmierzaliśmy się spojrzeniem.

- Zapalę świecę. – zaproponowałem.

- Zostaw. – powstrzymała mnie – Tak jest dobrze.

- W takim razie odpowiem na twoje pytania. – powiedziałem – Byłem uczniem Vallderbura, a nie zjawilem się na egzekucji, ponieważ bałem się spojrzeć mu w oczy po tym jak wziął na siebie moją winę. Gdybym był ostrożniejszy, twój mąż nigdy by się nie dowiedział, że ktoś go szpieguje.

- Więc tak jak przypuszczałam to byłeś ty. – zamyśliła się – czyli jesteś jego siostrzeńcem?

- Tak. – odparłem – Tak przynajmniej myślę.

Opowiedziałem jej całą moją dotychczasową historię. Wyjaśniłem też dlaczego chciałem zabić Amona. Słuchała uważnie nie okazując żadnych emocji. Gdy skończyłem wstała ze swojego miejsca i podeszła do mnie. Również wstałem.

- Amon to mój mąż, bo tak zdecydowano gdy byłam małą. Nie kocham go. Sama byłabym szczęśliwa gdyby odszedł, ale nie chcę byś ryzykował życiem. Nie chciałabym cię stracić. Spojrzałem w jej błękitne oczy, które błyszczały jasno nawet w mroku. Była jak zawsze szczerą i piękną. Pragnąłem ją pocałować, pragnąłem tego najmocniej na świecie, ale odsunęła się ode mnie i utkwiała wzrok w gwiazdach za oknem.

- Jutro też tu przyjdę. – powiedziała – Będę o tej samej porze. – po tych słowach wyszła zostawiając mnie samego w ciemnej, mrocznej bibliotece.

Następnego dnia znów się z nią spotkałem, kolejnego też. Widywaliśmy się codziennie, a ja coraz bardziej się w niej zakochywałem. Fascynowała mnie. Jej słowa, ruchy, uroda i radość, którą ze sobą przynosiła absorbowały mnie na długie godziny gdy rozmawialiśmy o wszystkim co tylko przychodziło nam na myśl. Była moim promykiem nadziei w tym mrocznym świecie potrafiła rozjaśnić nawet ciemności mojej duszy. Dwa dni przed obchodami założenia Arduro postanowiłem odwiedzić Elinorę za dnia. W świetle słońca jej włosy lśniły niesamowitą, głęboką czernią. Nie wiem czy to dlatego pragnąłem ją ujrzeć, czy może brakowało mi po prostu jej towarzystwa.

- Witam panie Aleksandrze, dokąd pan się wybiera? – zaczęła mnie na schodach jedna ze służących niosąca kosz świeżo wypranej pościeli.

- Idę do jej wysokości królowej, zanieść jej pewna miksturę, o którą mnie prosiła. – skłamałem.

- A to pan nic nie wie? – zdziwiła się kobieta. Po chwili przybrała konspiracyjny wyraz twarzy i podekscytowana ściszyła głos – Król kazał zamknąć swoją żonę w wieży i pod żadnym pozorem nie wypuszczać, ani nie odwiedzać. Ponoć, jej wysokość ma romans z kimś ze służby i to dlatego król podjął wszelkie środki ostrożności.

- Romans?

- A jakże! Co noc wymykała się ze swej komnaty i szła w stronę zachodniego skrzydła, gdzie jak pan wie są pokoje dla służby.

Pobiegłem do Amona dowiedzieć się dokładnie co się stało. Domyślałem się, że to moja wina i że to ze mną Elinora spotykała się nocą. Nie mogłem pozwolić by cierpiała przeze mnie. Amon myślał, że miała romans. Tylko, że ona nigdy go nie zdradziła.

- Panie!

- Tak Aleksandrze? – spytał król odkładając na stolik grubą książkę – Coś się stało?

- Dowiedziałem się o królowej Elinorze. – odparłem – Czy mogę coś dla was zrobić?

- Sporządź kolejną porcję serum prawdy. – powiedział – Chcę wiedzieć z kim się spotykała.

- To niemożliwe mój panie. – skłamałem – Nie mam już składników, a część z nich jest niezwykle rzadka. Torenzzo będzie potrzebował miesiąca na sprowadzenie ich ze wschodnich puszczy.

- Więc poczekam ile będzie trzeba – stwierdził. – Nie mam teraz czasu na takie błahostki, po jutrze muszę wziąć udział w obchodach dnia założenia Arduuru, później zajmę się Elinorą. A teraz Aleksandrze przynieś ten twój eliksir na nerwy.

- Melisę panie?

- Tak, melisę.

Przez kolejne dwa dni starałem się za wszelką ceną skontaktować z Elinorą przy okazji pomagając Amonowi w przygotowaniach do święta Arduuru. Nie dostawałem od niej żadnych sygnałów mimo, że od czasu do czasu nosiłem jej lekarstwa i jedzenie. Rankiem, w dniu obchodów założenia naszego kraju szepnęła mi tylko na ucho „Powodzenia”. To były ostatnie słowa jakie od niej usłyszałem. Tego dnia tak jak przypuszczałem większość żołnierzy była poza zamkiem i Amon prawie cały czas przebywał jedynie w towarzystwie służących i artystów. Wolałem jednak poczekać do wieczora, gdy pijani strażnicy po całym dniu hucznej zabawy usną, a król będzie całkiem sam. Po obiedzie zjedzonym w towarzystwie Tyrana razem z całym dworem udałem się do miasta by podziwiać paradę i wysłuchać orędzia Amona. Żołnierze prezentowali się niesamowicie. Ich równy krok dudnił miarowo na kamiennym bruku budząc jednocześnie podziw i strach zebranych. W ten sposób król nie tylko chciał zaprezentować ludowi potęgę Arduuru, ale także ostrzec rebeliantów pokazując, że był niepokonany. Nie miałem pojęcia, że tylu mieliśmy zbrojnych. Przez myśl przemknęło mi, że być może tyran przygotowywał się do inwazji na sąsiednie państwa. Po godzinie przemarszu nadszedł czas na to, co wszyscy kochali najbardziej. Ulica przeszedł kolorowy tłum ubranych w ekstrawaganckie stroje tancerzy i śpiewaków podrygujących w rytm wygrywanej przez orkiestrę skocznej muzyki. Na koniec przyszedł czas na fajerwerki. Sztuczne ognie wzbijały się w niebo z przeraźliwym gwizdem, by wysoko nad ziemią eksplodować tysiącem kolorów ku uciesze gapiów. Mnie ten widok nie był w stanie podnieść na duchu. W obliczu strachu przed tym, co miałem zrobić i ze świadomością, że Elinor również musiała oglądać to wspaniałe widowisko, tyle, że samotna w swej wieży, miałem ochotę uciec i zaszyć się daleko, poza granicami Arduuru, tak by nikt nie mógł mnie odnaleźć. Jednak nie mogłem w tej chwili stchórzyć. Doszedłem zbyt daleko.

- Hej, Aleks, nie napijesz się z nami? – zawołał do mnie jeden z pałacowych grajków – W taki dzień?

- Wybacz, nie mam ochoty. – odparłem i pospiesznie udałem się do pałacu.

Za mną ozwały się zawiedzione głosy już na wpół pijanych służących i śmiechy innych.

Postanowiłem nie zwracać na nich uwagi i pospiesznie udałem się z powrotem do zamku.

Strażnicy bramy przywitali mnie zataczając się lekko. Nie miałem wątpliwości, że im już także udzielił się świąteczny nastrój. Wszystko szło po mojej myśli i do pokonania zostały mi już jedynie schody. Przemknąłem niepostrzeżenie koło pokoiku straży i wślizgnąłem się do sypialni króla. Jednak tam go nie zastałem. Ogromne łoże okryte baldachimem stało puste koło otwartego okna. Nie miałem pomysłu gdzie Tyran mógł być, a pałac był zbyt duży by przeszukiwać go komnata po komnacie. Postanowiłem po raz pierwszy odkąd pojmano Vallderbura posłużyć się czytaniem w myślach. Po chwili byłem już pewien, Amon stał samotny w sali tronowej. Patrzył w gwiazdy, a w gładkiej tafli szyby odbijała się jego wyniosła postać. Ruszyłem biegiem w tamtą stronę. Gdy przekroczyłem próg uderzył we mnie chłód pałacowych murów. Sala tronowa była prawdopodobnie najzimniejszym miejscem w zamku. Uczucie chłodu potęgował dodatkowo wszechobecny biały kolor i olbrzymie okna po obu stronach sali. Rozejrzałem się i spostrzegłem Amona w lewym rogu komnaty wpatzonego w niebo, zupełnie jak w mojej wizji.

- Czekałem na ciebie Aleksandrze. – powiedział spokojnie.

Zdumiałem się, ale postanowiłem pozostać niewzruszonym:

- Domyśliłeś się?

- Masz oczy twojej matki. – zamilkł na chwilę – Czemu ja ci to mówię?

Uśmiechnąłem się dobywając miecza i idąc w jego stronę:

- Podczas obiadu poprosiłem cię o toast za obecnych i przyszłych władców Arduru, pamiętasz?

Spojrzał na mnie zdziwiony, nie mając pojęcia o co mogło mi chodzić.

- To wino było zaprawione serum prawdy. – wyjaśniłem – Zatrzymałem sobie jedną fiołkę.

Uśmiechnął się i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Wiedziałem kim jesteś, nie dało się tego nie zauważyć, a jednak ci zaufałem. Czemu?

- Jeśli chcę mogę być bardzo przekonujący.

Wiedziałem, że nie miał broni. Mogłem zabić go w każdej chwili.

- Na kolana – syknąłem przykładając mu ostrze do gardła – Powiedziałem coś!

Nie sprzeciwił się. Patrzyłem na niego z góry. Przez cały czas miałem nadzieję, że będzie mnie błagał o litość, że ta chwila będzie najlepszą w moim życiu. Jednak czułem tylko strach i gniew mieszające mi w głowie i usiłujące przejąć nade mną kontrolę.

- Powiedz tylko czy to rozkazałeś zabić moich rodziców?

- Tak – odparł spokojnie.

- Aż tak bardzo nienawidziłeś mojej matki?

- To była polityka, nie miało znaczenia kim była żona tego piekielnego Sillari. On był zdrajcą i przez niego nie mogliśmy zawrzeć pokoju. – powiedział – To oczywiste, że musiałem ich zabić, tak jak ty uważasz, że musisz teraz zabić mnie.

Tego było za wiele. Jak mógł porównywać jego pobudki do moich? Przecież on działał z czystej chciwości, rządzi władzy, a ja... Z chęci zemsty. Uderzyło mnie moje własne przeświadczenie, że to chore i żałosne. Mimo to, nie mogłem się już cofnąć. Wziąłem zamach mieczem, by pozbawić go życia raz na zawsze, ale w tym momencie poczułem ostry ból w kolanie. Władca zwinnym ruchem wstał i kopnięciem pozbawił mnie równowagi. Runąłem na ziemię, a miecz wyleciał mi z ręki.

- Nie dam się tak łatwo zabić. To nie ja zginę tej nocy – zaśmiał się król – Ale zdążę się jeszcze z tobą pobawić Aleksandrze.

Nie spodziewałem się takiego obrotu wydarzeń. Mój plan zakładał zaskoczenie Amona i zabicie go najszybciej jak potrafiłem. Nie przypuszczałem, że role mogą się odwrócić. W tamtej chwili to ja byłem na przegranej pozycji. Jednak zanim król zdążył zadać cios podniosłem się z posadzki i odskoczyłem w tył, by złapać mój miecz, lecz w tym momencie doszedł mnie głos Amona:

- Descare al videtatum.

Znałem dobrze to zaklęcie. Po chwili jedynym co mogłem zobaczyć była nieprzenikniona czerń. Czar oślepiający. Przestałem dostrzegać cokolwiek mimo otwartych oczu. Ten czar nie był co prawda trwały, ale w walce okazywał się niezastąpionym by zdezorintować przeciwnika. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Nie miałem pojęcia co robił Amon ani gdzie akurat był. Byłem bezbronny.

- Teraz już nie jesteś taki odważny? – zadrwił – Już mi nie grozisz?

Słyszałem wyraźnie, że głos dobiegał z prawej strony komnaty. Odwróciłem się w tamtą stronę, ale nagle poczułem silny cios na plecach. Znów upadłem. Nie mogłem tak walczyć. Nie widząc. Na słuchu też nie mogłem zbyt wiele polegać, gdyż komnata miała specyficzną akustykę, tak, że każdy dźwięk dochodził jak gdyby ze wszystkich stron na raz.

- Nie wiesz co teraz zrobić, prawda Aleksandrze?

- Wiem! – zawołałem i skupiłem całą moją wolę na wejściu do jego myśli. Nagle zobaczyłem świat jego oczami. Dokładnie wiedziałem gdzie był, bo patrzył ze zdumieniem wprost na mnie. Wstałem i pobiegłem po miecz.

- Nie! – krzyknął król, ale było już za późno. Lśniące ostrze przeszło mu serce i mężczyzna upadł na kolana. – Ja nie mogłem przegrać...

- A jednak. – odparłem z tryumfem w głosie – Jeszcze jedno ci powiem. To ja spotykałem się z Elinorą. Zostawiła ciebie dla mnie! Teraz będę miał twój zamek i twoją żonę.

- Ona nie żyje – powiedział cicho – zabiła się, bo myślała, że ja to zrobię, gdy dowiem się z kim się spotykała. Nie wierzyła, nigdy nie wierzyła, że możesz wygrać.

- Kłamiesz! – ryknąłem na niego ze łzami w oczach. Odzyskałem zdolność widzenia, ale i tak łązy skutecznie zamazały mi obraz – Kłamca!

- Sam zobacz. – zaśmiał się – Powiesiła się na swoim szalu. Żalotne.

Amon nie zdążył już nic więcej powiedzieć. Osunął się na posadzkę, którą po chwili pokryła szkarłatna kałuża krwi. Otrząsnąłem się i pobiegłem schodami w górę, do komnaty Elinory. Nie wierzyłem mu. Nie chciałem, aby to była prawda, wciąż miałem nadzieję, że ona żyje, że przywita mnie ze zwykłą radością w oczach. Gdy dotarłem na miejsce z wachaniem zastukałem w dębowe odrzwia, a one otworzyły się z cichym skrzypnięciem ukazując moim oczom makabryczny widok. Otwarte okno wpuszczało do wewnątrz lodowate, nocne powietrze. Wiatr targał zasłony i firankę, a na jego tle wisiało bezwładne ciało Elinory. Miała otwarte oczy, a jej włosy targane wiatrem to przysłaniały, to odsłaniały jej piękne oblicze, które teraz stało się zarazem strasznym. Nie chciałem w to wierzyć. Zamknąłem oczy i czym prędzej zbiegłem na dół. Zaalarmowałem żołnierzy. Powiedziałem im, że król zwariował, rzucił się na mnie z mieczem i musiałem go zabić. Nawet jeżeli mi wtedy nie uwierzyli, to nie dali tego po sobie poznać i w duchu cieszyli się, że Tyran umarł. Nie pytali o to więcej. Później wyjawiałem Radzie moje prawdziwe nazwisko i przyznałem, że byłem siostrzeńcem zmarłego króla. Bez namysłu uczyniono mnie nowym władcą. Koronację pamiętam bardzo dobrze. Ta sama komnata, w której Amon dokonał zycia, ta sama w której widziałem go po raz pierwszy. Tłum wiwatujący na moją cześć, nie zdający sobie jeszcze sprawy z tego jakim potworem się stanę. Wtedy dopiero zrozumiałem, że tak naprawdę zemsta niczego konkretnego mi nie dała, a raczej odebrała wszystko w co wierzyłem. Po jakimś czasie otrzymałem nawet żonę. Była dobrą kobietą, ale bardzo chorowitą. Zmarła tydzień po naszym ślubie. Ja natomiast codziennie odwiedzałem grób Elinory przynosząc na niego czerwone róże. Do dziś tak robię. Po kilku latach postanowiłem wprowadzić niepodzielne rządy. Denerwowała mnie Królewska Rada, która kwestionowała moje decyzje i podważała autorytet. No cóż, chyba wtedy władza uderzyła mi do głowy z całą swoją mocą. Nie potrafiłem opanować swojej rządy władzy i dałem się uwieść słodkiemu bogactwu i mocy, które posiadałem. Nocą moi żołnierze wymordowali wszystkich, których uważałem za moich wrogów. Radę, dawnych rebeliantów i kilku lordów podejrzanych o zdradę Arduuru. Ogłosiłem później, że to był zamach ze strony sąsiednich państw. Zapewne nikt mi nie uwierzył, ale wszyscy siedzieli cicho, nie chcąc podzielić losu zamordowanych. W końcu postanowiłem załatwić stare porachunki. Wydałem rozkaz zabicia Lorda DaMarazzi. Moi żołnierze zamordowali jego, jego żonę, lecz syna pozostawili przy życiu.

- A teraz stoisz tu przede mną Kserksesie, mój bracie. Nie miałem pojęcia, że żyjesz. – wyznaję, gdy staję przede mną osoba, którą uważałem za zmarłą przez tyle lat - Teraz, gdy opowiedziałem ci całą moją historię chyba jesteś mi w stanie wybaczyć?

- Nie. – mówi dobywając miecza – Zostawiłeś mnie wtedy, a sam uciekłeś. Zdradziłeś mnie, żeby za pomocą niegodziwości dojść do władzy. To byli moi rodzice, a ty kazałeś ich zabić. To ty powinienesz zrozumieć mnie, jeśli to co mi powiedziałeś jest prawdą.

- Rozumiem. – patrzę na Kserksesa z żalem – Daliśmy się obydwójce wplątać w szalone koło zemsty. Czy nie możemy go przerwać?

Brat spogląda na mnie z wściekłością:

- Możemy, ale zaraz po tym jak zginiesz! Jesteś potworem! Stałeś się czymś co tylko z wyglądu przypomina człowieka! Nie widzisz tego?

- Masz rację – mówię również dobywając miecza – Ale to jeszcze nie jest mój koniec.

KONIEC

Marta Czerwińska

LO 2 Opole

Klasa I D

Tatrzańska 4/4

45-217 Opole

Tel. 606909388

martametallica@interia.pl